



PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie:
rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35.
Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnej w 8-miu tomach
rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi
rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca HIPOLIT ORGELBRAND.

Ekspedycja główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego
kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwar-
talnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich pożytecznych, kwartalnie
flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskim: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½,
wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

O OSADACH ROLNYCH

DLA MAŁOLETNIH PRZESTĘPCÓW.

Mówiąc o powieściach obyczajowych, a czasem nawet w uauce spotkać się można ze zdaniem; że za każde przestępstwo moralne odpowiedzialnym jest społeczeństwo, w łonie którego to przestępstwo spełnione zostało; człowiek dopuszczający się go zostaje popchniętym na złą drogę przez złą dźwiałę z większą wolnością niż dachówka, spadająca z dachu i zabijająca przechodnia. Fakt statystyczny, że w blizkich odstępach czasu, w tém samém społeczeństwie, liczba przestępstw prawie się nie zmienia, przedstawiano nieraz jako dowód, że jakieś fatum ciąży nad całą ludzkością, sądzono że jakiś straszny Moloch żąda od niej krwawych ofiar, ofiary te znaleźć się muszą, pytanie tylko kto groźnemu bożkowi poświęconym zostanie. Nietylko teoretycy, ale i ludzie praktyki stoją niekiedy na tém stanowisku. Jeden z delegowanych rządowych wypo- wiedział na kongresie, rozpatrującym kwestyą więzień, który się przed niedawnym czasem odbywał w Londynie, zdanie, że między więzieniami, domami dla obłąkanych i szpitalami niema kardynalnej różnicy; w szpitalach znajdują przy- tutek chorzy na ciele, w domach obłąkanych chorzy na umyśle, więzienia mieszczą w sobie ludzi których umysł jest w pewnym kierunku zamięnionym przez jakąś namiętność, nad którą zapanować nie byli w stanie.

Nie tu miejsce wywodzić, dla czego na to zdanie tak ogólnie postawione zgodzić się nie można. Usprawiedliwienie naszego zapatrywa- nia byłoby łatwem ale nie wyczerpującem, gdy- byśmy się wprost na wolną wolę człowieka po- wołali. Zbyt daleko byśmy zaszli, gdybyśmy mieli wytłómaczyć, co przez wolność woli rozu- niemy. Ale zupełnie w inném świetle się cała kwestya odpowiedzialności za czyny przestępne przedstawi, jeżeli mówić będziemy nie o prze- stępcach w ogólności, ale tylko o *małoletnich* przestępcach.

Dziecko kilkoletnie słyszało o śmierci, o spo- koju po śmierci, o zabójstwie; zostaje samo z młodszym jeszcze od siebie bratem: niemowlę zaczyna płakać, starsze dziecko ażeby je uspo- koić, nożem podrzyna mu gardło. Czyż w tym razie będziemy mogli mówić o świadomości, o odpowiedzialności za czyn przestępny? Odp- wiedź łatwa, nie było tu świadomości czynu, nie było przestępstwa. Człowieka dorosłego jednak za zabójstwo niemowlęcia ukarzymy. Gdzież granica odpowiedzialności i nieodpowiedzialności za czyn, zabroniony przez prawo karne? Czy jednego dnia nie mamy dość rozeznania, ażeby wiedzieć czy działamy dobrze lub źle, a drugie- go odrazu rozeznanie to nam przychodzi, i od- tąd za czyny nasze odpowiadamy? Każdy wie dobrze że się tak w rzeczywistości nie dzieje. Wolnym się nie jest, wolnym się staje. A staje się wolnym, dochodzi się do samowiedzy stop- niowo, powoli. Cały peryod małoletności jest czasem przejścia. Jakże postąpić, jeżeli ktoś podczas tego rozwoju fizycznego i umysłowego przestępstwa się dopuści? O nieświadomości zupełnej co do natury przestępstwa, jeżeli tego do- puściło się dziecko po skończeniu jakich przy- puśmy 12-tu lat, mówić w większej liczbie ra- zy nie możemy. Ten rezultat negatywny bę- dzie bardzo często pewnym. Ale czy z tego o zupełnej świadomości wnosć będziemy mogli?

I na to pytanie, będziemy zmuszeni przecząco odpowiedzieć. Ale czy z tego wypływa, że dziecka takiego nawet przed sąd stawiać nie na- leży, że społeczeństwo zajmować się niem wcale nie powinno? Bynajmniej, społeczeństwo po- prawić je powinno. Względem dorosłych prze- stępców, jeżeli celu tego z oka spuszczać nie na- leży, to jednakże i na inne baczyć jesz- cze potrzeba. Chcąc przez karanie tylko po- prawiać, doszlibyśmy do tego że przestępcę, co do którego nie byłoby wątpliwości, że poprawić go nie można, wypuściłby odrazu trzeba na wolność; wysokość kary w żadnym razie nie by- łaby zawisła od natury przestępstwa: baczyłby na to należało, co było potrzebnem do popra- wienia przestępcy; gwałciłibyśmy sprawiedli- wość, a obłudzie podlegających karze szerokie byśmy zostawiali pole. Małoletni zaś nie dzia- łają z zupełną świadomością; dla tego ustaje lub schodzi na drugi plan, względ, że przez popeł- nienie przestępstwa obraził on społeczeństwo i że winien mu zadośćuczynienie za naruszenie jego praw.

Stawiając sobie poprawę za jedyny cel kary względem pełnoletnich, żądamy czegoś zbyt ide- alnego, nie do osiągnięcia. Trzeba być wielkim optymistą, ażeby w dobrej wierze głosić, że nie ma człowieka, któregooby poprawić nie można. Ale przekonanie, że są zaprawni w zbrodni przestępcy, których tylko nieszkodliwymi dla społeczeństwa uczynić należy, a o których po- prawie wątpić można, powinno być bodźcem, ażeby poprawę rozpocząć we właściwym czasie. A zatem nie pastwić się powinno społeczeństwo nad dzieckiem, które dopiero wchodzi na złą drogę, ale wyrwać je z pod wpływu otoczenia które nad jego zepsuciem pracowało. Małoletni, rozpoczynający karierę zbrodniarza, jest prawdziwą ofiarą społeczną; on sobie nie wybie- rał otoczenia, które usilnie się o to starało, aże- by zabić w nim wszelkie dobre poglądy, los mu

dał takich rodziców, takie towarzystwo. Czy jest zasługą działać dobrze, jeżeli się nie miało sposobności widzieć złego? A znów, czy jest kto odpowiedzialnym, za to że działa źle, jeśli mu nikt inny drogi nie wskazał?

Spółeczeństwo karze śmiercią zbrodniarza o którego poprawie zwątpiło. Nie wchodzimy w to, czy ma do tego prawo lub nie. Być może, że jest sentymentalizmem, ujmować się za człowiekiem moralnie zupełnie zepsutym, który właściwie przestał być człowiekiem, a żyje tylko życiem zwierzęcym. Ale moralnie tylko ten ma prawo drugich sądzić i karać, kto sam sobie nie ma nic do wyrzucenia. Czy zaś wyższa sprawiedliwość, sądząc karzące społeczeństwo i karanego śmiercią przestępcę, nie mogła by wyrzec: „Weźcie życie tego zbrodniarza, bo ono już nie jest życiem człowieczym, ale pamiętajcie, żeście wy nic nie uczynili, ażeby tego złoczyńcę podnieść z upadku moralnego, gdy nie było jeszcze za późno. Gorączka przechodzi w tyfus, jeżeli słabego w zepsutej atmosferze zostawicie. A wy czyszcie tego słabego moralnie starali się w początkach choroby przenieść do zdrowszej atmosfery?”

Dobre chęci bardzo często nie wystarczają. Jałmużna rzucona bez celu nieraz szkodę może przynieść temu, komu dopomódz miała. Kilko-groszowe wsparcia dawane młodym żebrakom zachęcają ich tylko do dalszego próżniactwa. Nie kilka groszy rzucić trzeba opuszczonemu dziecku, tylko wychować je na porządnego człowieka należy; tём wybitniej obowiązek ten występuje, jeżeli moralne zaniedbanie zaczyna już przynosić zgubne owoce, jeżeli dziecko się puszcza na drogę małych przestępstw. Dla pojedynczej osoby obowiązek zbyt to ciężki, nie można od nikogo wymagać, ażeby się obarczał wychowaniem dziecka, które już złym wpływom podlegało. Ale jak wszędzie, tak i w tym razie największe rezultaty się osiąga przez podział pracy. Jedni się zajmą uorganizowaniem zakładu, w którymby dzieci opuszczone przytułek znalazły, drudzy podejmą się dozoru tegoż, a całe społeczeństwo powinno za najświętszy swój obowiązek uważać, dostarczenie środków potrzebnych do wprowadzenia całej instytucji w życie. Otoż w społeczeństwie naszym znaleźli się tacy, którzy się podjęli urządzić zakład w tym rodzaju i opiekę swą nad nim rozciągnąć. Środki materialne powoli się także zbierają, ufać należy, że płynąć będą coraz obficie (*).

Kto zna stosunki angielskie wie dobrze, jak daleko na tej drodze zająć można. W Anglii panuje porządek i spokój, dla tego, że samo społeczeństwo bezustannie o sobie pamięta. Słabość Francji, przypisać należy w znacznej części brakowi samorządu. Pamiętanie zaś o swych biednych, chorych przestępcach, jest jedną z najważniejszych stron samorządu.

Dotąd przedstawiliśmy zakładanie instytucji poprawczych dla nieletnich przestępców jako obowiązek społeczny. Ale wychodząc nawet ze stanowiska czysto-egoistycznego, społeczeń-

(*) Ustawa naszego Towarzystwa czyni zależnym prawo zostania członkiem honorowym tegoż Towarzystwa od składania rocznego po rs. 6. Przed pierwszym złożeniem zapłaty, uzyskać potrzeba do tego upoważnienie Prezesa lub Wice-Prezesa Komitetu na przedstawienie jednego z członków Towarzystwa. Przyjmowane są wszelkie ofiary pieniężne jako też i w naturze, jako to: narzędzia rolnicze, bydło, nasiona ogrodowe i inne, wreszcie ubranie, obuwie, wiktuały i t. p. Nazwiska ofiarodawców i ich ofiary zapisują się w osobnej księdze. Za znaczniejsze ofiary Zarząd składa publiczne podziękowanie.

stwo nie powinno zaniedbywać spełnienia tego obowiązku. Szkody, jakie złoczyńca w ciągu swego życia społeczeństwu wyrządzi, wraz z kosztami trzymania tegoż złoczyńcy w więzieniu, wyniosą daleko więcej niż wydatek na wychowanie dziecka w zakładzie poprawy. Nacisku na ten sposób zapatrywanie się na kwestyę, która nas obecnie zajmuje nie kładziemy, gdyż to co nasze społeczeństwo charakteryzuje, jest pewne poetyczne zrozumienie życia. Sądzymy, że bardziej zalecimy jakąś instytucję odwołując się do prawości i szlachetności, niż wskazując co egoizm zmusza do uważania za korzystne.

Pierwsza osada rolna, która wkrótce ma być założoną, przeznaczoną będzie dla nieletnich przestępców. Nad żebrakami i włóczęgami Towarzystwo niezaniedba rozciągnąć swę opiekę, jak tylko będzie rozporządzało dość znacznymi funduszami. Jakieśmy to już wyżej powiedzieli, potrzeba zakładu dla dzieci pierwszej kategorii jest gwałtowniejszą, słusznie więc, że na nie Towarzystwo, najprzód chce zwrócić swą uwagę.

Z tego cośmy dotąd powiedzieli, każdy łatwo sformułuje sobie, jaki powinien być cel Towarzystwa opieki nad nieletnimi przestępcami żebrakami i t. d. Sformułowanie to zapewne będzie zgodne z tём, jakie znajdujemy w ustawie naszego Towarzystwa, a które brzmi w sposób następujący: „Towarzystwo zakłada sobie pracować nad moralną poprawą dzieci płci obojga, które za występki przez sąd na karę skazane zostały; tudzież nad polepszeniem losu nieletnich żebraków i włóczęgów bez przytułku.”

Nasuwa się w dalszym ciągu pytanie, jak osiągnąć cel powyżej wskazany? Dziecko zostaje przestępcą dla tego, że nikt mu nie wskazał jego obowiązków, dla tego, że niedostatecznie myślało o jego utrzymaniu, do utrzymania go na drodze przestępczej przyczynia się głównie brak znajomości środka do zapracowania sobie na kawałek chleba i brak przyzwyczajenia do pracy. Zakład więc niedostatki te usunąć musi. Wskazać powinien dziecku drogę uczciwości, a więc rozświecić jego umysł i uszlachetnić serce. Powinien mu dać utrzymanie nie wykwinne ale przyzwoite. Powinien je wreszcie zaprawić do zajęcia i wyuczyć takiej pracy, którą by w przyszłości utrzymać potrafiła. Rolnictwo zaleca szczególnie u nas bardzo wiele względów. Kraj nasz jest przeważnie rolniczy. W ogóle zaś obcowanie z naturą nie tylko wpływa zbawiennie na zdrowie dziecka ale też podnosi je moralnie. W każdym zaś razie wystrzegać się należy pracy czysto mechanicznej, która by umysłu dziecka zając nie potrafiła, tego rodzaju praca zniechęci dziecko, nie przywiąże go do zakładu, uniemożliwi zatem uzyskanie nad nim moralnego wpływu. Tylko zaś w ten sposób poprawa jest możliwą. Dziecko już w zakładzie powinno działać z własnego popędu, to tylko daje rękojmię, że prowadzić się będzie dobrze w późniejszym życiu. Dla tego nie należy surowością wymuszać posłuszeństwa, ale starać się o to, ażeby każdy wychowanec doszedł do przekonania, że będąc posłusznym działa tylko dobrze dla siebie. To indywidualne wpływanie na umysł każdego dziecka da się jedynie w ten czas osiągnąć, jeżeli wychowujący i wychowanec będą ciągle razem. Zbyt wiele więc dzieci opiece jednego nadzorca powierzać nie należy, nadzorca taki powinien mieć możność śledzenia usposobień powierzonych mu dzieci w każdej chwili, przy pracy, nauce i zabawie. Dla tego to tam gdzie więcej jest dzieci w jednym zakładzie rozdzielić je na rodziny niejako należy; nadzorca ma zastępować

ojca rodziny. Rodzina musi mieć swój oddzielny dom, szkołę, plac do zabawy, To odosobnienie rodzin tam tylko ustawiać może, gdzie względy praktyczne konieczności tego wymagają. Zakładanie oddzielnych warsztatów utrzymywanie dla każdej rodziny rzemieślników, którzyby uczyli dzieci rzemiosł, byłoby zbyt kosztownem. Podobnie w kościele schodzą się razem wszyscy wychowanci.

(d. c. n.)

RAMULTOWIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 89).

VII

Śpiewka dochodząca z ogrodu i uderzenie silne furtką nie dały jej mówić dalej; w progu, w kapeluszu, niepostrzegłszy jeszcze Lelii—stał Herman.

— Sylwaniu! zawołał, ratuj! umieram...

W téj chwili postrzegł Lelię i zmieszał się; ona parsknęła śmiechem.

— A! przepraszam! nie widziałem pani.

— Cóż ci się stało? zapytał podchodząc Sylwan.

— Nic, spokojnie odparł Herman: moja chroniczna choroba—nudy.

— Kobiety, dawniej słyngły jako lekarki—wtrąciła Lelia szydersko na niego patrząc—na nudy mam doskonałe lekarstwo...

— Dajże mi go... pani... siostrze... wahając się jakiego ma użyć wyrazu, odezwał się Herman i spojrzał na nią tak, że się jej tego biedaka żal zrobiło.

— Siadajże—panie lub bracie! jak chcesz, poczęła wesoło... Przyznam się, że jak na rodzeństwo jesteśmy w dość szczególnym położeniu—nie wiemy nawet jak się nazywać.

— Ale siostrze i bracie! wtrącił Sylwan—po staropolsku...

— Moje lekarstwo? podchwycił Herman, ratujże mnie, siostrze...

— Na nudy?

— Tak jest, na chroniczne nudy...

— Jedno w świecie, wypróbowane—trzeba się mocno zakochać...

— Sylwan zaręcza, że ja tego nigdy nie potrafię, bom nadto zepsuty.

— Napraw się! zawołała Lelia...

— Człowiek jest jak zegarek, który im więcej się naprawia, tём gorzej idzie—rzekł Herman,—to dowiedziona rzecz. Ja mam zwyczaj, gdy mi się psuje zegarek, darowywać przyjacielowi...

— Piękny mu robisz podarek, rzekł Sylwan.

— Zresztą co się tyczy zakochania, ciągnął dalej Herman: z tobą jako z siostrą droga pani, mogę mówić bardzo otwarcie. Jak tu się dziś zakochać w jednej z tych panienek które mówić nie umieją, czuć nie potrafią, sztywne, zimne, nudne... a wyrachowane jak tabliczka Pitagoresa. Są to kandydatki do stanu małżeńskiego i swobód jego... a nie do kochania. Dla nich miłość się zaczyna dopiero gdy jest już zabroniona.

— Ślicznie nas malujesz...

— Cożem winien, że mam taki wzór przed oczyma? mówił Herman—mógłbym się chyba

zakochać w istocie żywej, swobodnej rozumnej... a takiej nigdzie nie ma... myślę się... może jest jedna tylko... Pomiędzy garderobianą co śpiewa Filona, a hrabianką, co piszczy *Casta diva*... w środku braknie istot tych którymby pieśń ich własna z serca i ust popłynąć mogła.

— Oles powiedział że jest jedna? podchwyciła Lelia.

— Tak... jedna się przypadkiem znalazła—odparł Herman, i dodał z emfazą, patrząc na Sylwana:—i ta cudzym przykuta pierścieniem.

— Cóż? mężatka? zapytała Lelia.

— Gdzie tam! nawet nie mężatka, bo gdyby nią była... gotowy dramat, i jużbym się nie nudził...

Lelia śmiała się, lecz z ciekawością, spoglądała na Hermana który po raz pierwszy tak się jej dziwnie a otwarcie malował... Wyobrażała go sobie gorzej daleko...

— Jest jeszcze drugie lekarstwo—począł Sylwan—ale gorzkie.

— A ja gorzkich nie przełykam; ale jakże się żowie?

— A! stare jak świat, pewnie jak chinina od febrы—praca...

— Doskonałe—a no, trzeba się nauczyć niemi posługiwać... bo to coś naksztalt gimnastyki...

— A spróbować?

— Nie mogę, rzekł Herman. — Cóżby powiedziała mama! gorzej, coby powiedziało jej świątobliwe otoczenie. Praca zaraz pachnie demokracją, radykalizmem, my jesteśmy ortodoksy... modlić się nam wolno a pracować tylko na chwałę bożą, i—zresztą praca tak to coś nieoznaczonego... *vague*... wolałbym się zakochać.

Śmieli się z Hermana, on na Lelię patrzył, ona na niego.

— Widzę że z ciebie braciszku bardzo biedne stworzenie... rzekła cicho—my ubodzy choć tych waszych chorób nie mamy... to pociesza.

— Na świecie kompensuje się wszystko, *c'est connu*! mówił Herman. Mama, która zapewne musi się też domyslać, że ja się nudzę, chce mnie zapędzić w święty stan małżeński...

— Doprawdy? i już dobrano bratu towarzyszkę nudy i niedoli?

— A jakże! komitet na większą chwałę bożą, czuwa, bym megalomanię nie popełnił. Ale kochana siostró—(*si vous permettez*)—mogą się strasznie omylić w rachubach...

— Kogoż przecie swatają?

— Najpiękniejszą, najbogatszą, najrozumniejszą jak powiadają, prawdziwy ideał, o którym wy może najlepiejbyście mi coś powiedzieć mogli—pannę Hannę.

Sylwan obrócił się zdziwiony, Lelia aż krzyknęła.

— Jaktó! już postanowiono?

— Już, *c'est dit*—mówił Herman wzdychając. Nie pytając ani jej, ani mnie, ułożono to w komitecie, polecono mi tylko wykonanie dekretu...

Brat i siostra spojrzeli na siebie.

— Co wy na to? zapytał Herman...

— Jestem Hanny przyjaciółką, choć o wiele od niej starszą, odezwiała się wdowa, znam ją jak siostrę... kocham... jak mego brata... i nie zdaje mi się, ażebyście państwo dla siebie byli stworzeni, ani by Hanna była owemu komitetowi posłuszną...

— Ja zaś, o ile siebie znam, rzekł Herman, przewiduję, że nie potrafię się ożenić z dyspozycją... ale że mi spokój miły... nie będę się kłócił... Odwrócił się do Sylwana.

— A powiedz też ty mi, proszę, coś tym panom zrobił, że ciebie tak nienawidzą czy się lekają? Zdaje, że wczoraj musiała ich wielce

zgorszyć twoja przytomność na wieczorze, i mamie coś napletli; bo mi zakazała wasze towarzystwo... a owoc zakazany—najsmaczniejszy.

— To było do przewidzenia—rzekł Sylwan: mam niezasłużoną reputację herezjarchy i rewolucjonisty dla tego, że w religii oprócz formy pragnę ducha i czynu, a lud uważam za braci. Dla tych panów tego wszystkiego aż nadto do potępienia człowieka, bo im religia narzędziem, formą tylko i administracyjną machiną, lud zawsze poślednim materyałem, stworzonym, by go wyzyskiwano...

Ruszył ramionami Sylwan... brat patrzył na niego długo milezący.

— Dalipan! tyś bardzo odważny człowiek, rzekł w końcu... z twojem wyznaniem wiary... wiekuisie musisz być prześladowany, na indeksie. Ja—mój Sylwku—wolę w te rzeczy się nie wdawać... Gdy kto porządek i społeczność ratuje siedząc na kanapie, a mówi obrazowo jak Lubicz... poklaskuje—gdy kto głosi braterstwo ludu... admiruje... gdy kto staje w obronie wiary unosząc się... gdy fatalizm gnębi... podziwiam... ale mi to wszystko jedno... byłem się nie nudził.

— Tak młody! tak młody!—przerwała Lelia—i już takim jesteś sceptykiem.

— No, że też sceptykiem! zaśmiał się Herman: tobym choć wątpliwego coś miał tu—uderzył się w piersi—ale ja jestem... indyferentem...

Paprzyca powiada, że kraj może być zbawiony przez pieniądze tylko; ja... już dziś całą wartość życia przywiązuję do użycia...

— Pfe! to szkaradnie! zrywając się z miejsca—przerwała Lelia... Co za świat! co za ludzie! Któż cię wychował, mój bracie?

— Najświętobliwsi księża jezuici—rzekł Herman spokojnie,—potem mamine pieszczoty serdeczne, dużo pieniędzy... i—ot... XIX wieku powietrze!

— Żal mi cię!

Sylwan się zbliżył do brata i ujął go w ramiona z uczuciem wielkiem...

— Kochany Hermanie, zawołał: tybys mnie doprawdy nawet z jezuitami pojednał—tak z całą swą biedą, jesteś szlachetnie otwarty, tak z twego sarkazmu bije serce, tak wiele w tobie żywotnego materyału! tak wiele w tobie pragnienia dobra... O mój drogi, chciej tylko na to życie, z którego sobie robisz igraszkę, spojrzeć poważniej, głębiej, z tej wiary Chrystusa, z której oni robią petle i bicze kręcą, odłącz boże ziarno... uwierz w dobro na ziemi, szukaj ideału, stwórz go w sobie... zadaj sobie pracę nad sobą, namietnością, słabością, upadkiem ducha, — a wyrobisz się na wyższą istotę, na prawdziwie godnego imienia tego—człowieka...

Tak—życie nędzy jest pełne, i ludzie słabi, i świat nie wiele wart; lecz wywalczyć z nędzy tę bogactwo ducha, ludzi słabych krzepić, świat przejść nie walając się o niego a litując mu się—toć piękne i wielkie zadanie. Dla czegoż go nie podjąć?

— Kto ma siły—amen—zakńczył Herman i zwrócił się do Lelii. Kochana siostró—rzekł—choć Sylwan na mnie gderze... ja go kocham... On jeden wierzy, że z tego zbrukanego gałgana jeszcze coś być może...

Lelia z politowaniem i współczuciem podała mu rękę...

— Zaczęliśmy wesoło a skończyli aż nadto jakoś smutnie, rzekła—przerwijmy... Co robisz wieczorem?

— Wieczorem postanowiłem być posłusznym, odezwał się Herman; mama się wybiera do starościny, ja jej towarzyszę.

— Cóżtu zrobić? z zakłopotaniem zawołała Lelia patrząc na brata: myśmy tam także być mieli?

— A! to się cudownie się składa! rzekł Herman... chociaż, chociaż mama może nie zupełnie będzie temu rada... bądźcie koniecznie... ja was żegnam, idę, ubieram się i do zobaczenia...

Seisnął rękę Sylwana, Lelii, i szybko wyrwał się z ogródka...

Po jego wyjściu długo pozostali nie przemówili do siebie.

— Osobliwszy chłopiec—odezwiała się w końcu wdowa—żał mi go, mam dla niego współczucie siostry... ale co się z nim stanie... (d. c. n.)

KORESPONDENCYA

Berlin w Październiku 1872 r.

Jeżeli się puścić mimo obojętną pismu, jak *Wieniec*, dziedzinę polityki, przenoszącą zresztą w ciągu ubiegłego lata główną swą widownię gdzieindziej, nie straciłoby się istotnie zbyt wiele, przedstawiając niezapisanemi i próżnemi stronice kroniki berlińskiej z dwóch miesięcy *der Saurengurkenzeit*. Nie dość, że polityka z wyjątkiem cesarskiego zjazdu wypoczywała najzupełniej, świeciło nadto najprzykładniej ferye na bruku berlińskim wszystko, co zwykło nadawać ruch i życie fizjonomiom wielkich stolic europejskich. Kroll i przedmieściowe teatry, spacer po Thiergartenie i koncerty ogrodowe wśród antylop i słońców zoologicznego parku,—to trochę za mało tak na zasób moralno—umysłowo—artystyczny wielkiego miasta, jak na materyał dla sprawozdawcy z jego życia. Uniwersytet zamknięty, opera zamknięta, *Schauspielhaus* zamknięty, dwór i dyplomacya w podróży u wód, wszystko zresztą co się nazywa życiem, świecące lub rozbijające swój namiot gdzieindziej, niż na zakurzonem i rozpalonym bruku berlińskim. Opustoszenie podobne Berlina wśród ubiegłych trzech miesięcy lata, przedstawia tym ciekawszy swą ujemnością i ténbardię uderzający obraz, iż właśnie w tym roku więcej może niż lat poprzednich odbyło się w Niemczech zebrań i zgromadzeń niepolitycznej natury, które unikając stolicy, przenosiły należne jej w pierwszym rzędzie życie gdzieindziej. Do takich zgromadzeń policzyć nasamprzód należy zjazd prawników, *Juristentag*, odbyty na ten raz w Stuttgarcie. Odkąd tutejszy minister sprawiedliwości, Hanowczyk Leonhardt, objął swą tekę, a objawszy przystąpił praktycznie do reformy istniejącego prawodawstwa pruskiego, do reformy tak szybkiej, tak radykalnej, że teoretykom i uczonym prawa trudno za nim i życzeniami i pomysłami wydażyć, straciły wprawdzie *Juristentagi*, szczytujące się dotąd rolą i stanowiskiem pionierów wszelkiego postępu w dziedzinie prawodawczej niemieckiej, w niemałej części swe znaczenie. Mimo to jednakże otacza je pewna powaga *tradycji*, a gdy kilkaset uczonych, znanych w świecie naukowym i parlamentarnym osobistości zjedzie się razem i pocznie obradować pod przewodnictwem jakiego Gneista nad przedmiotami mającemi żywotną wagę, pozostanie zawsze zjazd taki wypadkiem, który gdyby sobie obrał za miejsce Berlin, okazałby się nader skutecznym antydotem na *saurengurkowe* nudy. Woleli tymczasem prawnicy niemieccy od nowo—cesarskiej stolicy, starą stolicę wirtensberską, i obrawszy sobie profesora Gneista przewodniczącym, roztrząsać instytucje sądów rozjemczych, *Schöp-*

pengerichte, nicować bardzo starannie instytucję sądów przysięgłych pruskich w obecnych warunkach istnienia, podawać wreszcie zarysy przyszłego prawodawstwa prassowego w Niemczech, jedyne, nawiasowo powiedziawszy, pole, na którym żelazny księżę nie pozwala być ani oryginalnym, ani reformistycznym koledze swemu

zjazd tak zwanych *starych katolików*, który przecież wolał zebrać się w Kolonii i za inicjatywą pp. Schultów i Antonów uchwalić rezolucję do magającą się przedewszystkiem majątku kościelnego *nowych katolików*. Choć rezolucya ta nie przypadła wcale do gustu tutejszej prassie, owęj prassie narodowo-liberalnej, która przedewszy-

go lata więcej. Odbył się liczący do 2,000 uczestników zjazd katolików niemieckich. Zamiast jednakże obrać sobie za miejsce zebrania Berlin, dał pierwszeństwo Wrocławowi. Gromy padały w imię liberalizmu i postępowości na zacyfany zjazd wrocławski, prassa narodowo liberalna zżymała się nań, ale w gruncie rzeczy żałował



BŁOGOSŁAWIENSTWO NOWOŻEŃCÓW. Rysunek Artura Grotgera.

z wydziału sprawiedliwości, p. Leonhardtowi.

Podobnie ma się rzecz z całym owym szeregiem religijnych soborów, któremi Niemcy zapelnili ubiegłe lato z gorliwością i zajęciem godnym istnie kościelnych zamieszek XVI wieku. Berlin, nie wątpimy, byłby się wielce ucieszył, gdyby mu wolno było ugościć w swych murach

stkiem pragnęła krótkiego i prostego przejścia zgromadzonych, do obozu protestanckiego, byłby przecież narodowo-liberalne hotele, piwiarnie i kawiarnie berlińskie ujrzały nader chętnie w swych murach choćby ten oporny element nawet. Takich zawodów miała jednakże nowa stolica cesarska doznawać w ciągu ubiegłe-

Berlin, iż choć nowych katolików nie udało mu się zgromadzić na swym bruku, by się czémkolwiek pocieszać w kłopotach kwaśno-ogórkowej ery. W podobny sposób jak prawnicy do Stuttgartu, jak starzy katolicy do Kolonii, jak nowi katolicy do Wrocławia, umknął Berlinowi i zjazd biskupów do Fuldy. Jakby na dobitkę i na

domiar złego, zebrał się jeszcze teraz, w pierwszych dniach Października, zjazd ekonomów politycznych i przemysłowców w Eisenachu, by radzić nad środkami zapobieżenia wyrastającym z każdym dniem groźniej kłopotom kwestyi socyalnej. Berlinowi zostało więc, jak się ztąd przekonąć można, bardzo mało, a to co pozostało, nie ma szczególnej wartości i wielkiego interesu. Zapiszmy jednak w naszej kronice i owe drobiazgi.

W pierwszym rzędzie zaliczyć do nich należy wystawienie pomnika *ojcu Jahnowi*, którego znaczenie dla ludności berlińskiej określiliśmy już w pierwszej korespondencji. Pomnik Jahna stanął na tak zwaną *Hasenhaide*, w północno-wschodniej stronie Berlina, w pobliżu owego *Friedrichsheimu* kryjącego zwłoki poległych w dniu 18 Marca 1848 r. Uczestniczyły w uroczystości odsłonięcia po-

mnika w dniu 11 Sierpnia stowarzyszenia turnerskie miasta Berlina, deputacje studentów z różnych szkół. Nie zbywało też na telegramach księcia następcy tronu, księcia Bismarcka, różnych innych dostojników. Uroczysty obchód ku uczczeniu pamięci starego demagoga odbył się z wszelkim porządkiem i spokojem... Wkrótce po tej uroczystości, a równocześnie niemal ze zjazdem trójcesarskim stracił Berlin jedną ze znanych bardzo, typowych postaci swiej miejscowej literatury. Był nią rozgłosny na bruku berlińskim humorysta Kalisch, autor mnóstwa grywanych u Krolla i na teatrach przedmieściowych komedijek, dowcipny współ-pracownik *Kladderadatscha*. Nie był to humorysta

w wyższym tego wyrazu znaczeniu, nie byłby się przyznał do pokrewieństwa ani Henryk Heine, ani Jules Janin, ale za to nie byłby go się wyparł ani Wiedeńczyk Saphir, ani dowcipny redaktor warszawskiego ongi *Momusa*. *Possa* berlińska traci w nim jednego ze swych głównych reprezentantów; *Kladderadatsch*, któremu wena dowcipu często się bardzo przebiera, jeden ze swych najpodstawniejszych filarów. Dziwnym zrządzeniem Opatrzności zmiotła śmierć obok tego śmiejącego się jeszcze w dzień własnego pogrzebu w swych *possach* humorysty berlińskiego, z istnie opiewaną już przez księdza Bakę nieumiejętnością rozróżniania swych ofiar, równie poważanego jak znienawidzonego przez ortodoksyę wszelkich wyznań filozofa i uczonego, Ludwika Feuerbacha. Feuerbach śmiały w swych rozumowaniach, logiczny i konsekwentny, dość odważny, by się nie cofać przed najostatniejszymi krańczynami swych konsekw-

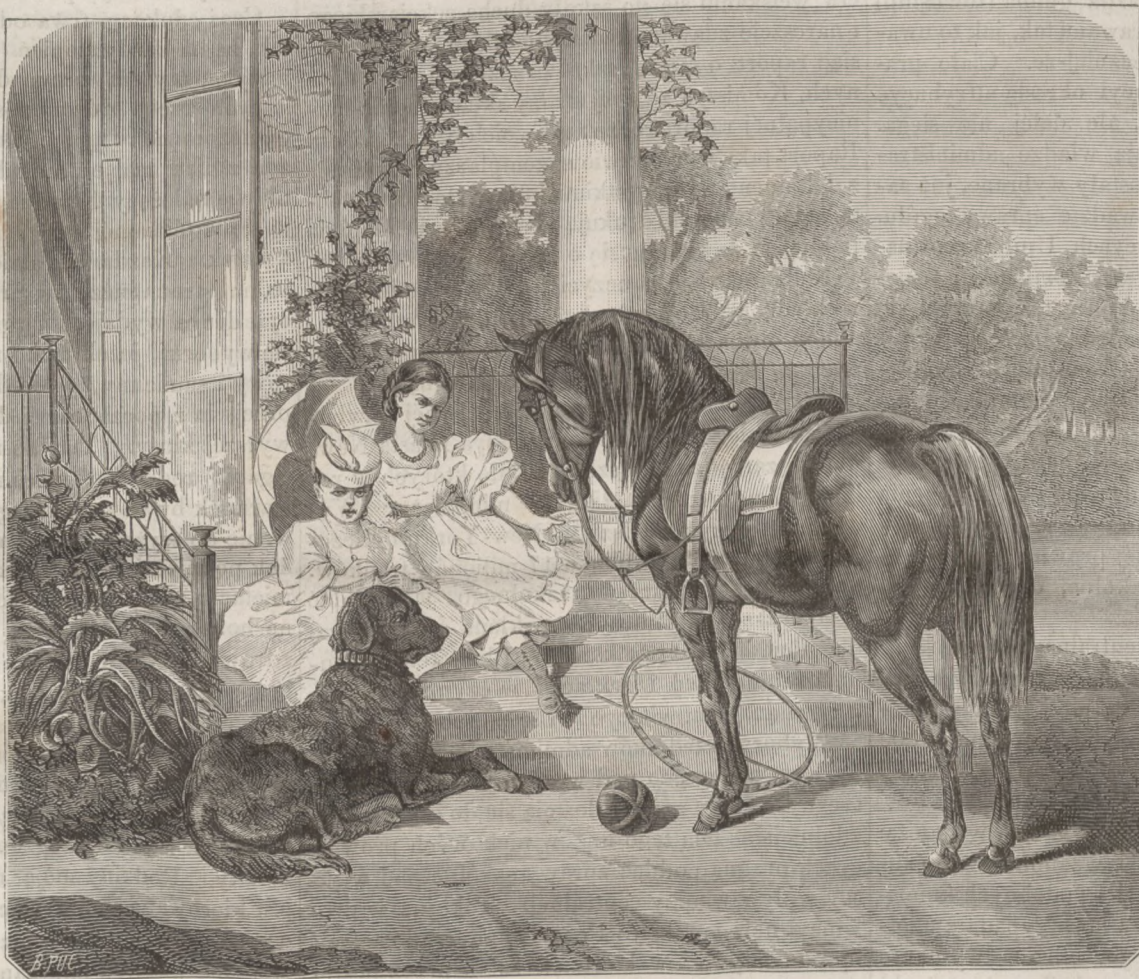
cyj, jaskrawy wyobraziciel kierunku noszącego w filozofii niemieckiej z lat pomiędzy rokiem 1830 a 1840 nazwę ostatecznej lewicy Heglianizmu, wszedł w nieubłagany zatarg ze wszelkimi objawionymi wiarami, z wszelkimi dalej systemami filozoficznymi, które w obrębie ich pozostały, a zrywać z nimi stanowczo i wyraźnie nie chciał. Stanowisko podobne postawiło niemniej osobę jego, jak pisma na indeksie nie tylko już rzymskim, ale energiczniej może jeszcze na indeksie protestantyzmu i owej zapatentowanej oficjalnie filozofii na uniwersytetach niemieckich. Nie było tedy mowy ani o uczonej karyerze, ani nawet o jakiegobądź uniwersyteckiej profesurze dla myśliciela sięgającego tak głęboko w dziedzinę negacyi. Żył tedy w odosobnieniu, w rodzaju wyklęcia, w nędzy i biedzie materialnej, kiedy głowy stokroć mniej hojnie uposażone opływały w dostatki i honory. Umarł

z naszej strony zgon jednego z nader rozgłosnych swego czasu uczonych i filozofów niemieckich.

Wracając na bruk cesarskiej stolicy, wracając nań mianowicie z fatalną datą dnia 1 Października, wypadłoby nam tylko przez sumiennosc i dokładność kronikarską powtórzyć znów starą piosenkę o twardego serca właścicielach domów i przesładowanych komornikach, o *Wohnungsnoth* i eksmissyach za pomocą egzekutora. Anegdotalnie wyglądają a przecież ściśle historyczne fakta o mieszkaniach pewnej części ludności berlińskiej *sub divo* i o kłopotach wzniesionej na polu za Moabitą *Barackenstadt*. Z tych najzupełniej prawdziwych niestety szczegółów widzimy, iż kwestya socyalna zagląda ze wszelką swą groźną rzeczywistością w oczy nowo-cesarskiej stolicy i że zgromadzona w osobach poważnych ekonomów politycznych i przemysłowców anty-

teza kongresu hagskiego, ma wszelki powód zastanawiać się w cichym, turyngijskim Eisenachu, nad środkami zapobiegającym skutecznie szerzeniu się coraz to zgubniej pauperyzmu niemieckiemu.

Mimo to panuje w innych sferach ruch i kierunek dowodzący jeszcze nieprzerwanie dobrego humoru z powodu odniesionych w ostatnich wojnach powodzeń. Dobry ów humor jeżeli tak wolno powiedzieć, objawia się przedewszystkiem w istnej *pomnikomanii*. Stały ostatnimi czasami pomniki króla Fryderyka Wilhelma, Szyllera, Steina, co znajdujemy rzeczą naturalną, stanął pomnik Jahna, co nam się mniej naturalne wydaje. Ma stanąć pomnik Getego, co rzecz więcej niż



KUCYK. Kopia z aquarelli Juliusza Kossaka.

w początku Września w Norymberdze, licząc lat 68 wieku. Był to człowiek uzdolniony, potężny myśliciel, ale odosobniony w dziedzinie filozofii przynajmniej w ten sam sposób, w jaki widzimy odosobnionych na polu politycznym Jacobich, Beblów, i Liebknechtów. Śmiesznym więc po prostu, świadczącym o zupełnej nieznajomości rzeczy i o niezmierniej przesadzie jest twierdzenie niektórych pism naszych zachowawczego kolorytu, jakoby Feuerbach był ojcem i źródłem materializmu ogarniającego i wyzbiegającego dzisiaj Niemcy. Zamknięty w czterech ścianach swój izdebki, uczony teoretyk, i to jeszcze w dziedzinie abstrakcyj filozoficznych, nie wywołałby nigdy w Niemczech podobnej moralnej i umysłowej rewolucyi, wywołał ją wypadki, których ani apostołem, ani inicjatorem, ani prorokiem nawet nie był żaden filozof, lecz mąż „krwi i żelaza.” Otoż maleńka wycieczka, która po za sferę berlińską wywołał mimowolnie

śluszną, mają go wystawić także, co mniej potrzebna jakiegobądź allegorycznej Germanii. Rzeźbiarze niemieccy śpieszą znów jak na obałunek z modelami, które podobnie jak modele posągu Getego, mają być wystawione i pokazywane publiczności w wielkim przedsięwzięciu nowego muzeum.

Z dniem 1 września r. b. otworzono też w salach tutejszej akademii sztuk pięknych wystawę obrazów, uboższą, nawiasowo powiedziawszy, tak pod względem liczby, jak wartości, od wystaw lat poprzednich. Pierwszego dowodzi okoliczność, iż kiedy wystawa z roku 1870 liczyła 1898 obrazów, obecna liczy ich tylko 1751; drugi stwierdzony urzędową kroniką królewskiej akademii fakt, iż rozpisanej na ten rok wielkiej nagrody konkursowej za obraz treści historycznej, nikt z ubiegających się o nią, z powodu „niedojrzałości dostarczonych prac,” nie zyskał. Sprawozdania tutejszych dzienników przypisu-

ją ten mało pocieszający objaw wpływom wojny francuskiej.

Wielka opera królewska straciła jak wiadomo przez wyjazd do Anglii i Ameryki, znaną, znakomitą śpiewaczkę Lucę; p. Hülsen, dyrektor teatrów królewskich, ma, według zapewnienia tutejszych dzienników, być w wielkim kłopotcie o wyszukanie jej stosownej następczyni.

OBRĄZ

Wychowania publicznego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 89).

ROZDZIAŁ II.

ZARZĄD SZKOLNY.

Za podstawę w urządzeniu szkół publicznych służy prawo, jakie ma każda gmina (township) do kierowania swoimi sprawami tak, jak to uważa dla siebie za najpożyteczniejsze. Ciało prawodawcze każdej prowincji określa atrybucje władz administracyjnych, ale dalej nie sięga. Obywatele sami wybierają władze administracyjne. Władze te gdy zostały wybrane, już same winny myśleć i prowadzić sprawy ogółu.

W rozmaitych prowincjach Unii zarząd naczelny szkół zostaje w ręku komisji edukacyjnej (board of education), która też nazywa się gdzie indziej urzędem komisarzy szkolnych (board of commissioners). Organizacja komisji edukacyjnych odbywa się prawie jednakowo we wszystkich prowincjach. Nie zależą one wcale od siebie, działają na własną rękę, a jednak nie ma zamieszania. Doświadczenie i chęć służenia dobru publicznemu równoważą tę bezwarunkową swobodę. Gdy w jednej prowincji wprowadzono jakie ulepszenie szkolne, druga zaraz ją naśladowuje.

Komisja edukacyjna centralna czyli prowincjonalna wybrana swobodnie przez obywateli, oraz nadzorca nie pracują darmo. Każdy członek komisji w Stanie new-yorskim pobiera 800 dolarów (dollar około 9 zł.), nadzorca 2,500 dolarów (12,500 franków).

Do komisji edukacyjnej i nadzorey należą: czuwanie nad wydatkami i egzaminowanie nauczycieli. Ona to oznacza dla podobnych komisji miejscowych część jaka im przypada z ogólnego funduszu edukacyjnego, określa wysokość podatku szkolnego, wybiera i skupuje książki i czuwa nad peryodycznymi zjazdami nauczycieli. Leez chociaż komisja i nadzorca mają takie atrybucje, prawdziwymi rządami szkół są komisje miejscowe znajdujące się w gminach.

Dla przykładu weźmy miasto New-York. Podzielone ono jest na 7 okręgów szkolnych obejmujących podokręgi stanowiące gminę. Każdy z okręgów wybiera po trzech komisarzy na lat 3-y do komisji edukacyjnej. Trzecia część komisarzy co rok wychodzi, a w ich miejsce wybiera się nowych. Tak więc 21 wybranych komisarzy tworzy komisję edukacyjną (board of education), która kieruje sprawami szkolnymi miasta. Komisja ta wybiera z pośród siebie 15 komitetów, które się zajmują różnymi czynnościami. I tak: 1-szy komitet zajmuje się zarządzeniem szkół publicznych i wolnej akademii miasta; do 2-go należą szkoły początkowe; do 3-go szkoły wieczorne; do 4-go finanse; do 5-go nabywanie ziemi i budowanie gmachów szkolnych; do 6-go sprzęty szkolne; do 7-go ogrzewanie i przewietrzanie; do 8-go ochrona budowli; do 9-go

placa nauczycieli; do 10-go kontrolla i sprawozdanie rachunków; do 11-go prawa i rozporządzenia; do 12-go wybory i tytuły wybranych; do 13-go wykłady i książki szkolne; do 14-go wybór ciała nauczycielskiego; do 15-go apellacye.

Komisja edukacyjna wybiera sobie sekretarzy i rozmaitych urzędników. Każdy okrąg wybiera ze swej strony syndyków czyli kuratorów (trustees) zarządzających funduszem, ruchomościami i nieruchomościami należącymi do szkoły. Oprócz tego mianuje po 3-ch inspektorów, ale wybór jego powinna zatwierdzić większość komisji edukacyjnej miejscowej. Nareszcie do komisji edukacyjnej wysłanej z wyborów należy mianowanie nadzorey szkół, który z dodanymi sobie urzędnikami powinien zwiedzić przynajmniej raz na rok wszystkie szkoły, wglądać w zarząd, naukę, postępowanie nauczycieli, utrzymanie książek szkolnych, stan zabudowań i t. p. On także ma obowiązek czuwania nad wykonywaniem rozporządzeń szkolnych, strzedz przeciw wciśnieniu się do szkoły ducha sekciarskiego i nareszcie zdawać komisji edukacyjnej co miesiąc raport o stanie szkół przez siebie zwiedzonych. Komisja ze swej strony składa radzie municypalnej raport roczny o swoich czynnościach. Raport taki w mnóstwie egzemplarzy rozsyła się z dokumentami wszystkimi, których te sprawy obchodzą. Dzienniki drukują to wszystko i tak opinia publiczna dowiaduje się o całym biegu edukacji.

Nadzorca daje nauczycielom upoważnienie do wykładu; wprzód jednak kandydat składa egzamin w obecności dwóch inspektorów wyznaczonych ad hoc przez komisję edukacyjną.

Czynności komisji edukacyjnej i jej atrybucje są rozległe. Tak np. komisja miasta New-Yorku zarządza 260 szkołami, do których w roku 1867 uczęszczało 226,188 młodzieży. Wydatki na utrzymanie szkół New-Yorku obliczono w roku 1869 na blisko 17 milionów franków.

Organizacja zarządu szkolnego jak widać z powyższego jest dosyć zawiślana i nie bardzo dogodna. Mnóstwo komisji i komitetów utrudnia sobie pracę i wkracza w czynności swoje z powodu, że atrybucje ich są podobne.

Wybory urzędników administracyjnych szkolnych zostają często pod wpływem dążności politycznych, i nie zawsze dostają się do władzy najzdolniejsi. Dla tego też w niektórych prowincjach pragną poddać sprawy szkolne pod większy wpływ władzy centralnej. Tak już w prowincji new-yorskiej i Pensylwanii rząd centralny oddziaływa na kierunek szkół przez pośrednictwo nadzorców, może karać syndyków i kuratorów odjęciem części płacy, jeżeli nie pilnują obowiązków.

Rozważając ten zarząd szkolny, widzimy, że pomysłność edukacji zawisła wiele od nadzorey, który, jeżeli jest człowiekiem niepospolitym, ma zaufanie spółobywateli i jest jakoby duszą całego zarządu. Czasami urząd ten spełnia jeden z sekretarzy komisji edukacyjnej gdy ma po temu zdatność i zaufanie obywateli. Wielu znakomych ludzi w Stanach Zjednoczonych pełniło obowiązki nadzorey i czas ten liczą do najlepších użytych chwil życia, gdy mogli czuwać i kierować edukacją publiczną, którą uważają za najpewniejszy zakład pomysłności swojego kraju. Liczbę osób zatrudnionych sprawami wychowania jako członkowie komisji, sekretarze, nadzorey podają w przypuszczeniu na 500,000.

ROZDZIAŁ III.

KLASYFIKACJA SZKÓŁ.

Odróżniają w Ameryce dwie kategorie szkół klasowe i nieklasowe. W nieklasowych panuje system taki: Uczeń już ile tyle usposobio-

ny przynosi ze sobą różne książki, a nauczyciel zajmuje się każdym z osobna, przez co wiele czasu traci. Postęp nie równoważył tej straty i dla tego ten rodzaj szkół wychodzi z użycia. W prowincji Pensylwanii liczone ich w r. 1862 jeszcze 1,245; a w 1864 tylko 198.

Szkoły klasowe nazywają się takie, w których uczniowie są rozklasyfikowani na liczne oddziały podług stopnia ukształcenia; oddziały te jednak nie stanowią seryi coraz systematyczniej rosnącej. Następuje to dopiero w szkołach stopniowych. Tu uczniowie mogą przechodzić kolejno, stopniami cały zakres nauk wykładanych w szkole początkowej, gramatycznej i wyższej (Primary School, Grammar School inaczej Secondary School i High School). W niektórych miejscach szkoły rozmaitych stopni znajdują się w osobnych zabudowaniach; w innych zajmują rozmaite piętra tegoż samego zabudowania. Uczniowie posuwani są do następnej sekcji po egzaminie dowodzącym, że się usposobili dostatecznie w niższej.

Czas edukacji trwa od roku 5 lub 6 do 18-go, tak, że na każdy stopień (klasa początkowa, gramatyka, wyższa) przypada po 4 lata. Ponieważ w tych trzech głównych seryach znaleźć się mogą uczniowie rozmaitego uzdolnienia, zaczętem każda z nich ma jeszcze oddziały. Wszyscy uczniowie należący do jednego oddziału zgromadzają się w tej samej sali i uczą się z tych samych książek. Każda sala dzieli się na dwie połowy; jedna strona uczniów przygotowuje się do lekcji, druga wydaje. Organizacja taka okazała się wyborną, jeżeli tylko nauczyciel jest dość surowy i sumienny by nie dopuścić niezasłużonego przejścia z początkowej do gramatyki, a z tej do wyższej klasy. Trudno to nieraz oprzeć się na leganiu rodziców, niecierpliwości uczniów, ale warunek bywa przestrzegany. Jakkolwiek posuwanie do wyższej klasy mogłoby służyć za środek podniecający do nauki; jednakże trzeba pamiętać o zdrowiu, bo dziewczęta np. powodowane honorem, posuwając się szybko traciły na zdrowiu. By zdrowia nie nadwężyć praktykuje się prawie we wszystkich szkołach gimnastyka i muzyka wokalna, co niezmiernie wpływa na uprzyjemnienie zatrudnień szkolnych. By dzieci nie znudzić lekcye są różnorodne i krótkotrwałe.

System szkół stopniowych i zaprowadzone od niedawna regularne egzamina wydają świetne rezultaty. Rodziny mają rękojmię, że edukacja jest kierowana dobrze; liczba uczących się ciągle wzrasta, zaczętem znów idzie przyrost nauczycieli, ulepszanie metod nauczania.

Dla dania wyobrażenia o zakresie nauki w tych stopniowych szkołach podajemy wyliczenie przedmiotów w każdej seryi czyli stopniu.

1. W seryi początkowej: czytanie, pisanie, rachunki, rysunek, geografia, muzyka, nauka rzeczy (*).

2. W seryi gramatycznej: czytanie, pisanie, rachunek, gramatyka praktyczna, definicje, etymologia, rozbiór, pierwiastki (radix), historia starożytna, nowożytna, geografia, ćwiczenia, język łaciński, arytmetyka, buchalterya, geometrya, trygonometria, kreslenie planów, algebra, fizyka, astronomia, fizjologia, higiena, rysunek architektoniczny, muzyka wokalna, język niemiecki, francuski, nauka rzeczy.

3. W seryi wyższej (high school): Dalszy ciąg wykładów rozpoczętych w klasie gramatycznej, ale w sposób bardziej naukowy. W tej seryi odróżniają się dwa działy: angielski (English high school) i łaciński. Różnica między niemi taka, że

(*) Przez naukę rzeczy rozumieją kształcenie zmysłów w poznaniu i odróżnianiu rzeczy, np. kolory, formy, ptaki, kwiaty, liczby, miary, wagi, dźwięki i t. p.

w oddziale łacińskim więcej się przykładają do języków starożytnych, ażeby się usposobić do uniwersytetów. W oddziale zaś angielskim kierunek jest bardziej jak mówimy, fachowy. W tym oddziale przeważa wykład matematyki, fizyki, chemii, nauk przyrodniczych; równocześnie jednak wyklada się literatura, filozofia moralna, historia polityczna, geografia przemysłowa i handlowa. Oddział więc angielskim zwany, urządzony jest wybornie i daleko większe przynosi skutki niż szkoły *realne* europejskie, nie wyjmując niemieckich.

Program jak wiadomo może być bardzo rozległy, ale korzyść nie zawsze mu odpowiada. Z programu zatem nie wiele można sądzić o wartości szkoły. Wszakże autor raportu naoczywiście przekonywał o działaniu programu i daje mu świadectwo jak najpochlebniejsze.

Zabudowania szkolne przewyższają okazałością i wygodą wszystkie europejskie; miasta spółzawodniczą ze sobą w tej okazałości. Gmachy szkolne wiejskie śmiało mogłyby stanąć obok najpierwszych europejskich.

Urządzenie szkolne jest wzorowe. Dom szkolny jest zwykle trzy piętrowy; piętra jednakowo są rozdzielone; po prawej i po lewej stronie wschodów są wieszadła, na których młodzież składa kapelusze, szale, płaszcze; tuż w około umywalnie z kruczkami; dalej sale dla nauczycieli i nauczycielek. We środku wielka przestrzeń podzielona na tyle sal ile klas się znajduje. Najwięcej podobają sobie w salach rozdzielonych szklanymi przegrodami. Na końcu tej przestrzeni znajduje się miejsce podwyższone, z którego zwierzchnik lub przełożona widzi wszystkie klasy (6 lub 8, zwyczajnie), z których każda mieści 50 do 60 uczącej się młodzieży. Każdy uczeń siedzi na ławce przymocowanej do podłogi, ma przed sobą mały stolik czyli biurko z szufladką, gdzie leżą książki, ołówki, papier, linie, tabliczki sztywne i t. p. Tablica czarna, karty do czytania, rachunku i geografii rozwieszone po ścianach uzupełniają sprzęt szkolny.

Zwykle dziewczęta zajmują prawą stronę; chłopcy lewą, ale w wielu szkołach nie przestrzegają tego rozdzielenia. Zajmujący obraz przedstawia wszystkie te klasy płci obojga to razem to oddzielnie pracujące pod kierunkiem właściwych nauczycieli. Kilka razy na dzień przegrody się usuwają i wszystka młodzież stanowi tylko jedną klasę, daje się słyszeć fortepian, dzieci wykonywają marsze, kontrmarsze i znowu wszystko wraca w przystojnym ładzie na swoje miejsca.

(d. c. n.)

PRZYGODY I OBRAZKI ANATOLSKIE.

OPOWIEDZIAŁ

KARA AWDZI.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 89.)

No! myślę, wezmę się w lewo! może też w tej stronie gdzie nasz ogień spozstrzegę. Ledwom paręset kroków zrobił w tym kierunku, znajdowałem się właśnie w pobliżu leśnej polanki, gdy nagle ujrzał na niej jakiś cień snujący się. Serce mocno mi zabiło z radości, bo widzę, że to jakaś gruba sztuka. Już wór na ziemi, flinta w ręku i powoli skradam się do niespodzianej ofiary. Ale jakaś przekłeta gałązka wlała mi pod obcas i łusnięciem spłoszyła jelenia, który mocnym upotaniem i kopnięciem się do lasu odpowiedział szydersko na me niefortunne zabiegi.

niechże cię! zawtórowałem mu, i zwaliwszy znowu wór na plecy, ruszam dalej. To powtorne spotkanie ze zwierzną zaostrza we mnie apetyt myśliwski i postanawiam w drodze podwoić czujność.

Ponieważ lasy tutejsze nie zajmują wielkich przestrzeni, przeto polowanie na upatrzonego jest tutaj bardzo powszednie. Krajowcy prawie nie znają innego polowania; lecz dla mnie było ono nowiną, i dla tego mocno mnie zainteresowało. Strzelbę trzymam na pogotowiu, a wzrokiem szczerze badam przestrzeń przed sobą.

Ale wkrótce znudziło mi to wszystko, dla wrzósów ogromnych, z po za których o krok nawet jeden nie nie widać. A tu księżyc tak słicznie rozsypuje swe promienie po żółtym piasku drogi i po wierzchołkach chwastów i zarośli! Ciepła, balsamiczna fala ku mnie przyciąga z sąsiedniego wzgórza, a z nią cały rój tęczyowych i świetlanych marzeń, które całkiem mają uwagę chłona i przenoszą w świat inny. Nie słyszę nawet jak się nogi podemną suną, a wór wcale grzecznie układał mi się na ramieniu, tak że i jego nie czuję. Myśli moje jak chyże sokoły zerwały się i uleciały gdzieś daleko...

Niecielesnym okiem widzę gdzieś ulicę miejską, a na niej dom drewniany parterowy; w oknach błyszczy światło, a przy blasku jego poznaję trzy drogie siostrzane postacie i aniołka złotowłosego przy nich. Coś tęsknego i rzewnego zawisło nad tą grupą! Łzawo robi się patrząc na te trzy szlachetne postaci, skulone nad pracą i z troską w oku wyczekujące niepewnego jutra—niema boleść płynię od nich. Pusto i samotnie na około nich, widać, że przed chwilą tam gdzie smutek i nudy panują, gwarowo było, a życie skromne, lecz pełne treści drgało w tym zakątku... Albo inne jakieś miłe twarze i twarzyczki, jak roje motyli krają w koło mej pamięci... To znów grób roztacza swe czeluście i w świetlanej sukience wypływa cicha, jasna postać, jakby wabiąca w kraj lepszy. A równianka wspomnień tocząc się z tęczyowych blasków, raz płochych, to znowu rzewnych i poważnych, wysnuwa się coraz chylęj, coraz dalej, aż gdzieś gubi się na krawędziach świata... Errr! raptem i głośno coś frunęło w górze przedemną, ażem drgnął cały na ciele a o flincie zapomniałem. To przesliczny bażant tuż przed samym nosem zerwał się! tak, że o mało jak to mówią, kapelusza mi z głowy nie zbił. Ha! niech Cię tam taki siaki, ale więcej już nie złapiecie! Tak sobie mocno postanowiwszy, posunąłem się dalej.

Zresztą cała ta heca zwierza, zdaje się, jakby była wymierzona przeciwko mnie. Śmieszna to pomyśleć! ale kto wie? wszak niejedna rzecz wydawała się śmieszną i dziwaczną, nim ją lepiej poznano. Ileż to złudzeń świat za prawdę uznał i przeciwnie, ileż to prawd przez długi czas za złudzenie miewał! Wielka boża tajemnica leży w każdej naszej najmarniejszej rzeczy; czyżby i w tych, co są najszczytniejsze dla nas, jej nie było? Gdzie tylko okiem cielesnym powiodę, wszędzie gubię się w nieskończoności, a każdy jej rodzaj w świecie materyalnym swe ślady zostawił. Niezliczone odciski tego pozostały w duchu naszym, a cała mądrość naszej sofistyki pozytywnej nigdy tego zbić nie potrafi. I powoli marzenia mi ujęły znowu w swoje koło zaczarowane. Wodzę tęsknym wzrokiem po przestworach niebieskich, czegoś z nich uporeczywie wyszukując—czyżbym szukał mego dawniejszego miejsca pobytu?...

Pomimo blasku miesięcznego wyszukuję migających gwiazdek i jak sknera na brylantach, tak mój wzrok na nich pasę. Szukam znajomych i

nieznajomych, wir jakiś brylantowy w mym mózgu się odbywa—chcę wynaleźć te które są godłem związku wiecznego. Niech choć one mnie tej prawdy uczą! Wprawdzie i mnie coś podobnego snuło się w zaraniu mych marzeń, lecz lodowata rzeczywistość wskazała mi obowiązek na przeciwnym krańcu. Płynię, płynięcie me marzenia w dal, w krainę straszną obowiązku, bo już wiosna i lato dla was przeminęły i związku szukajcie...

Pchu! pchu! coś jak z piekła chuchnęło na mnie z sąsiedniego krzaka. Stałem jak wryty ze strzelbą na pogotowiu, lecz w gęstym krzaku nie nie widzę. Chru! chru! chru! jak głuchy grom zachrakał mi w sam nos dziezysko i łomocząc jak urwana góra, stoczył się w ciemną otchłań bałki. Klnąc palnąłem o ziemię strzelbą, jakby ona była winna temu. Po chwili krew zimna mi powraca i jestem zadowolony, że czyniąc zadość gorączce myśliwskiej nie palnąłem w dzika na niewidzianego. Gdybym strzelił do niego śrótem, choć z tak bliska, t. j. o dwa lub trzy kroki najdalej, tobym nigdy go na miejscu nie położył, a wtedy roztratowałby mnie na miazgę, chociaż dzik tutejszy nie jest tak śmiały do ludzi jak nasz. Uciekł przedemną a nie ja przed nim, i tego dosyć będzie dla mnie. I rozweselony memi przygodami nocnymi, wesoło dalej posuwam się po drodze, w zamiarze przenocowania gdzieś w pobliżu na otwartej drodze.

Niedaleko od miejsca gdzie spotkałem dzika, spostrzegłem ogień w dole, wcale niedaleko od drogi. Ogień coś za wielki, ale kto to wie? może dla tego taki rozłożyli, ażebym tém łatwiej ich odszukał? Spuszczam się tedy na dół, lecz wkrótce napotkałem jakiś płot na drodze i z za niego poznaję, że to ognisko węglarskie. Nie chcę w tym dzikim kraju wdawać się w gawędy, szczególnie po nocy i dla tego opuszczam węglowsko spieszenie. Ale ledwom się z miejsca ruszył, gdy usłyszałem za sobą przyjacielski głos, wołający na mnie, Giel! giel! (*) Czął co tak serdecznie zaprasza pierwszego lepszego w nocy nie musi być złym człowiekiem, pomyślałem i wróciłem nazad.

Po zwykłym przywitaniu pytam Turka, czy nie widział we dnie, w której stronie leży nasze obozowisko? Lecz na to mi odpowiedzieć nie umiał, ale natomiast zaprasza mnie ze zwykłą muzułmańską gościnnością, abym resztę nocy przespał u niego w budzie przed ogniem, bo zimno i rosa nocna są wielce szkodliwe. Naturalnie, chętnie przyjąłem ofiarowaną propozycję, która daje mi choć część tej nocy spokojnie przeżyć.

Gdym się usadowił koło gospodarza, nastąpiło ponowne przywitanie, a za nim i bliższe zapoznanie się. Węglarz mój wielce mi się podoba, z serdecznego choć rubasznego obejścia się jego, widzę w nim typową tutejszą postać nie zepsutego człowieka z ludu. Budka jego jak w ogóle tutejsze, jest tylko wypłciona na jednego człowieka do siedzenia; pomimo to ustępuje mi kawał swego kilimka i zaprasza, bym zupełnie rozgościł się u niego. Wprawdzie na rozgośczenie się miejsca nie ma, lecz ta serdeczność za miejsce wystarcza.

Zaledwom usiadł na miejscu, gdy mój gospodarz już przystawił blaszankę od kawy i ofiaruje mi filiżankę gorącego napoju. Kawa taka tu-recka bywa zwykle podawana bez cukru i smakiem wielce przypomina chininę, lecz do wszystkiego można przyzwyczaić się, to też i mnie ja-

(*) Giel, chodź tu.

koś udało się przełknąć ten gorzki acz wonny trunek. Bez kawy Turek kroku jednego nie stąpi, jest coś sakramentalnego dla niego w użyciu tego trunku. Przy tej sposobności i mój gospodarz zasiadł do kawy i pociąga dymek wonny z nargile. Z pierwszych słów znamy się już dobrze—wiem, że mój gospodarz jest to dymisjonowany „topezi” bombardyer, który skończywszy swe rachunki z Belloną, przeszedł obecnie na służbę Wulkana.

U żołnierza tutejszego jest to dobre, że gdy opuszcza szeregi i wstępuje napowrót do życia domowego, żadna w nim cecha zwykłego obywatela nie zaciera się. Ztąd pochodzi, że i mój topezi wcale nie zarzucił obyczaju gościnności, tak święcie u Turków przestrzeganego. Wprawdzie slichna jest ta gościnność muzułmańska i w ogóle oryentalna! Ma ona w sobie coś tak uroczego, że dla niej człowiek gotów przebaczyć wiele a wiele tej nawpół barbarzyńskiej i rozbójniczej społeczności. Przy niej samolubstwo nasze jest czémś tak szkaradnym, tak duszącym, w porównaniu do tej szerokiej natury oryentalnej, że dziwić się nie trzeba, gdy muzułmanin, pomimo naszego bogactwa, patrzy na każdego Frenka jako na istotę niewykończoną, gminnego niskiego pochodzenia. Zapewne, ludy w dzieciństwie urabiają sobie zdania o charakterze innych narodów z oznak powierzchownych, lecz w tym razie zdaje się że prostactwo tureckie wiele gorzkiej prawdy wypowiada naszej dzisiejszej, pysznej i samolubnej cywilizacji. Sknerstwo w obyczajach gnieździ się pomiędzy nami w skutek sknerstwa ducha nami rządzącego.

Gdy pierwsze zwykłe zapytania wymieniliśmy pomiędzy sobą, zapytałem mego gospodarza, czy słyszał dzika, którego spłoszyłem? Odpowiedział mi, że istotnie słyszał za sobą taki szelest, aż przeląkł się, nie umiając na razie dokładnie sobie wytłumaczyć, z kądby on mógł pochodzić. Następnie zapytuje mnie, jak blisko spotkałem się ze zwierzem?

— Ot! ledwom go za uszy nie porwał, odpowiadam mu żartobliwie. (d. n.)

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

CHOLERA INDYJSKA.

ze stanowiska geografii medycznej i higieny międzynarodowej.

przez p. Fernadna Papillona.
(Revue des deux mondes).

Dalszy ciąg. (Ob. Nr. 89).

Aż do Maja 1869 r. kwarantanna była obowiązującą ogólnie dla osób przybywających morzem do Rosyi. Wszyscy podróżni bez wyjątku podlegali rewizji sanitarniej i zatrzymaniu trwającemu 10—20 dni. Francuz właściciel winnicy osiadł w Krymie opowiadał niedawno p. de Valcourt, że kiedy przybył do Odessy w 1848 r. kazano mu wysiąść na bulwar wraz z rodziną i innymi podróżnikami o godzinie 10 z rana i usunąć kładkę służącą za komunikację między statkiem i brzegiem.

Zatrzymano ich dwa tygodnie, jakkolwiek nie było epidemii ani w Rosyi ani w żadnym z tych portów do których statek zawijał. W 1856 r. formalności te zostały zniesione. Przywrócono je następnie z pewnym złagodzeniem. Obecnie ponieważ cholera panuje w Odessie, kwarantanna funkcjonuje i zajmuje liczną obsługę. P. Valcourt jednak, który powraca z Rosyi utrzymuje że w przecieciu trzydziestu pasażerów przybywających do Odessy, podlega tam kwarantannie, kiedy tymczasem czterystu podróżnych przyjeżdża koleją żelazną i swobodnie wchodzi do miasta. Od strony Turcyi równie łatwo jest ominąć przepisy kwarantannowe. W roku bieżącym administracja ottomańska, pragnąc zabezpieczyć kraj od cholery panującej w Rosyi, urządziła kwarantannę dziesięciodniową w Sulinie dla statków udających się na Dunaj, na Bosforze dla okrętów płynących do Konstantynopola, — w Batun dla statków przybywających z portów kaukaskich. Zniosła prócz tego komunikację parą między Gallaczem i Odessą. Ale cóż się dzieje w skutek tego? Podróżni wyjeżdżają z Rosyi koleją Wołoczyską (granica austriacko-rosyjska) i udają się do Konstantynopola przez Wiedeń i Barraeh, jak to uczynił ambasador rosyjski przy porcie ottomańskim. Wkrótce kolej żelazna łącząca Kiszyniew z Jassami będzie ukończona, a tym sposobem droga stanie się jeszcze krótszą. Kwarantanna jest więc bez użyciu.

Reasumując powyższe uwagi należy przyznać, że systemat kwarantann przedstawia powikłania i trudności, które w wielu razach czynią go bezskutecznym i trudnym do przeprowadzenia. Nie tylko trudno tu znaleźć dość czujnych urzędników, ale niekiedy niepodobna nawet przeszkodzić transportom i ruchowi podróżnych, stanowiących dla epidemii środki komunikacyjne.

III

Jeśli niemożliwym jest tępienie cholery w jej źródle, jeżeli trudno oprzeć się wtargnięciu jej do nas—pytanie czy nauka nie posiada przynajmniej antidotu, lekarstwa, którym walczyć by można z klęską, kiedy już do nas się dostanie? I na to pytanie niepodobna dać zadawalającej odpowiedzi. Lekarz przyznawszy raz, że w nauce zupełna ciemność otacza jeszcze kwestyę pochodzenia klęski,—musi również otwarcie wypowiedzieć w obec ofiar epidemii, że sztuka lekarska prawie zawsze jest bezsilną, gdy idzie o leczenie cholery. Środki proponowane jako leczące cholerę są równie liczne, jak hipotezy stawiane dla wytłumaczenia ich skuteczności. Z jednej i drugiej strony złudzenie tu jednakowe. Ci którzy uważają cholerę za chorobę pochodzącą od pasożytów, szukają naturalnie środków na zniszczenie tych pasożytów (*). Lekarze dla których cholera jest chorobą zakaźną, którzy przypuszczają pewnego rodzaju zmianę molekularną w całej massie krwi, mianowicie w jej materyach białkowych, są zdania, że kwasy zbawiennie w cholerze działaćby mogły. Inni uważając za rzecz pierwszej wagi przywrócenie płynnej

(*) Między stronników tej hipotezy należy zaliczyć profesora niemieckiego p. Halliera, który uważa za dowiedzione, że cholera powstaje z zyjątek *micrococcus*. P. Hallier tłumaczy zresztą wszystkie choroby na podstawie „nieskończenia małych” tej samej kategorii.

własności krwi skrzepląj w naczyniach, uciekają się do alkaliów. Posługiwano się też i solą kuchenną, którą wielu praktyków za rzeczywisty specyfik uważa; uciekano się do alkaloidów, jak kofeiny i t. d. Fizyologowie, którzy za siedlisko choroby uważają systemat nerwowy—nerw sympatyczny, zachwalają przedewszystkiem leki przeciwkurczowe (antispazmatyczne). Ostatecznie, wszystkie niemal środki okazały się bezskutecznymi; jedynie racjonalnym w cholerze okazuje się dziś postępowanie symptomatyczne, jakiego się trzymało w pierwszych czasach pojawienia się tej choroby. Leczenie to nie powala choroby doraźnie, nie stacza z nią bitwy jednej, stanowczej, ale uderza na nią w całym szeregu potyczek, zaczepiając kolejno wszystkie objawy chorobowe. Choleryczni mają kurcze, lekarz stara się usunąć takowe. Są zimni, lekarz ogrzewa ich przez nacierania i napoje. Krażenie odbywa się u nich zwolna i bez energii, lekarz usiłuje przywrócić stosunki normalne przez pobudzenie ruchów serca. Wydzieliny są powstrzymane, lekarz je wywołuje odpowiednimi środkami. Ten sposób nie zaczepiający samej istoty choroby, już nieraz uwieczniony był szczęśliwym rezultatem. Działaniu środków w cholerze stoi na zawadzie przedewszystkiem ta okoliczność, że te środki nie mogą być do krwi wessane. Niektórzy lekarze powzięli myśl wstrzykiwania środków lekarskich bezpośrednio, czy to pod skórę, czy w żyły. Liczne próby nad tem robione powiodły się zupełnie i ta metoda okazała się dobrą. Ale trzeba postępować z nią ostrożnie i systematycznie jeżeli chcemy rzeczywistą korzyść z niej wyciągnąć dla leczenia cholery i innych chorób. W ten sposób tylko stworzyć możemy armię stałą i zaprawioną do walki z chorobami.

(d. n.)

BŁOGOSŁAWIENSTWO

NOWOŻEŃCÓW.

Jest dawny zwyczaj zachowywany przez wszystkie stany kraju naszego, iż nowożeńcy przed zawarciem ślubów małżeńskich obchodzą domy starszych wiekiem, prosząc o błogosławieństwo na nową drogę żywota. Taką to ceremonię w której osobami działającymi są włościanie przedstawia rycina na str. 842.

ROZMAITOŚCI.

— Benedyktyni klasztoru neapolitańskiego na Monte-Cassino zajmują się w tej chwili wydaniem chromolitografowanem rysunków Michała Anioła Gaetanego do „Bozkiej Komedy” Dantego, znajdujących się w zdobnym liczniemi pomnikami pierwszym klasztorze tego zakonu. Do rysunków będą dołączone szczegółowo objaśnienia przedmiotów.

Zeszyt dwunasty
ENCYKLOPEDIY POWSZECHNEJ
S. ORGELBRANDA
w 8-miu tomach

opuścił prasę.

Treść: O osadach rolnych dla małoletnich przestępców Dra K. Strasburgera. — Ramułtowie, powieść współczesna J. I. Kraszewskiego (c. d.) — Korespondencya z Berlina. — Obraz wychowania publicznego w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki, Krupińskiego, (c. d.) — Przygody i obrazki anatolskie, opowiadanie (c. d.) — Ze świata naukowego i społecznego. Cholera indyjska (c. d.) — Błogosławieństwo Nowożeńców. — Rozmaitości. — Ogłoszenie. — Ryciny: Błogosławieństwo Nowożeńców. — Kucyk.

Wydawca, HIPOLIT ORGELBRAND.

Дозволено Цензурою, Варшава 26 Октября (7 Ноября) 1872 г.

Redaktor, MIECZYSLAW ORGELBRAND M. Pr. i Ad.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.